Cena 18 fen. = 13 cent.



# ŚWIATŁO

**Rok X.** Bytom G.-Szl., 15-go Marca 1896. **Nr. 6.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

## Gabryel Hołubek.

### SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Dokończenie).

Tu spojrzał na mnie po raz drugi takim wzrokiem, jakim patrzałby pewnie dobry i litościwy monarcha całego świata na ostatniego z nędzarzy; tyle tam było w tem spojrzeniu pożałowania, współczucia i litości. Ale po chwili znowu się odezwał:

— A to wasze marne szczęście ziemskie, za którem się tak wszyscy ubiegają, jak ono nic nie warte! Najdłuższe życie, w największych rozkoszach spędzone na ziemi, niczem jest w obec jedynej chwili przeżytej przy Ojcu niebieskim! A te wasze ludzkie cierpienia, na które już się tak wszyscy skarzą, to jak krótki, marny sen przechodzą. Jeno przez to stają się nieocenionym skarbem, że za nie Ojciec niebieski daje mieszkanie w swym domu. Gdyby mi wszystkie królestwa świata ofiarowano, nie chciałbym się już wrócić na ziemię! I tak każdy myśli, kogo Bóg wezwie do Siebie, szczęściem swojem się cieszy, a tych, co na ziemi zostali, żałuje. Pamiętaj przeto, siostro miła, abyś nigdy nie szemrała przeciw woli Bożej. Bóg, ten Ojciec najmiłościwszy, który nas ludzi tak kocha, że my tego ani w przybliżeniu pojąć nie możemy, miałby zsyłać na dzieci swoje to, coby dla nich nie było dobre? Chyba pozbawiony rozumu, może myśleć, że to, co Bóg na niego dopuścił, jest złe! Że on sam lepiejby swoim losem pokierował! Ciężko też człowiek grzeszy, okropnie znieważa miłość Bożą ku nam, gdy przeciw wyrokom Bożym, jak szaleniec się miota i oponuje! Bóg jest miłością, i to tylko daje dzieciom swoim, co jest dla nich dobre, najlepsze! Pamiętaj przeto, moja słodka siostrzyczko, że nie żałować mnie, ale cieszyć się tem, co Bóg uczynił ze mną, powinnaś. A gdy tęsknota serce twoje ogarnie, to pomyśl, że niebawem się zobaczymy w nieopisanem szczęściu; bo i najdłuższe życie na ziemi to tylko krótka chwila doświadczenia, przygotowania do życia wiecznego, które jest dopiero życiem prawdziwem. Zamiast tedy jęczeć, płakać i szarpać się,

staraj się żyć cnotliwie, zachęcaj i tych wszystkich, których kochasz, do cnoty, abyśmy zobaczyć się i żyć razem mogli w niewysłowionem szczęściu i radości, w domu Ojca naszego.

— Słuchałam w milczeniu wszystkiego, co Gabryel mówił, pojąc się zachwycającą postacią jego i tym wyrazem jakiegoś szczęścia i niepojętej dla mnie rozkoszy, którym mu płonęło oblicze. Ale gdy wspomniał o tem wspólnem życiu w niebie, już radości piersi moje objąć nie mogły, więc wykrzykłam:

— O, bracie mój drogi! Jam już poznała winę moją i bardzo żałuję, żem tak zaślepioną była! Ale teraz rzucę wszystko i wraz z Adamem pójdę za tobą! Jeno mi powiedz...

— Jak ci się życie ciężkiem i zbyt długiem wyda — przerwał mi Gabryel — spoglądaj w niebo i myśl, że Ojciec niebieski na ciebie patrzy, że cię prowadzi i szczęście ci na całą wieczność gotuje. Gdyby ludzie myśleli częściej o Bogu, o tej miłości, z jaką ich oczekuje, o tych rozkoszach dla nich naszykowanych, jakby się to sromali swoich wyrzekań! Zamilkliby ze wstydu, że mając Ojcem Boga, jeszcze narzekają!

— Domawiając tych słów, przytulił mnie do piersi, a ja uczułam znowu tę dziwną słodkość w sercu rozlaną; więc chciałam objąć go ramionami i przytrzymać dłużej, ale on znikł mi nagle w onej jasnej smudze słonecznych promieni, żal nieopisany ścisnął mi serce i z całej siły zakrzykłam:

— Gabryelu, bracie mój! Czekaj!

— I snać krzyk ten mój zbudził mnie, bo otworzyłam oczy i ujrzałam się na łóżku w swej sypialnej komnacie, a przy mnie nie było nikogo; tylko pas światła od nocnej lampy, padał mi prosto na twarz. Zrazu nie wiedziałam, czy mi się to wszystko śniło, czy też było na jawie; lecz oprzytomniawszy zupełnie, poznałam, że to jeno sen był tak śliczny, zesłany mi widocznie z nieba dla pociechy i nauki. Więc zaraz powstawszy z łoża, padłam na twarz przed krzyżem i po gorącej modlitwie ślubowałam uroczyście Bogu: że od tego momentu, wszystko co Ojciec niebieski na mnie ześle, chętnem sercem przyjmę i za wszystko, choćby mi się nie wiem jak srogiem i strasznem wydało, Panu Jezusowi podziękuję, a szemrać nigdy, przenigdy nie będę. Zaś brata zmarłego przestanę od tej chwili opłakiwać, a wszystkie łzy w życiu wylane, za grzechy moje ofiaruję. Taki to ślub w onę pamiętną noc złożyłam i za łaską Bożą dotrzymałam go do dnia dzisiejszego.

Tu Ludmiła zamilkła wzruszona, a panna Agnieszka, pokręciwszy głową, rzekła z westchnieniem:

— Hm! Niema co! sen bardzo piękny i pocieszający... Wszelako... szkoda, królowo moja, żeś się też brata o nikogo nie pytała! Choćbyś się jeno była dowiedziała, co ś. p. pani Gorajska tam robi, czyli też już używa wiekuistego szczęścia?

— Ano, miła panno Agnieszko, kiedym się miała o co pytać? Najpierw byłam jakby zachwycona i oniemiała tą pięknością niebożczyka brata a po drugie, gdym go chciała dłużej zatrzymać, to mi się w słońcu rozpłynął. Szkoda! Aleć to pewnie, nikt z tamtego świata nie zdradzi tajemnic niebieskich. Każdy musi czekać i sam się dopiero po śmierci wszystkiemu przyglądać. Największa ciekawość nasza za życia na nic!

— Tak ci jest! Ja przecie myślę, że dosyć nam tu na ziemi wiedzieć, że kto cnotliwie żyje, tego Bóg na całą wieczność do Siebie przygarnie. I musi być tak dobrze, kiedy Pan Bóg tak postanowił i przed ludźmi przyszłe życie zakrył.

Staruszka pokiwała głową, a wreszcie stęknąwszy powstała wolno i rzekła:

— Ha! Wola Boża!... Przecie człowiek niedaleko od grobu, to się dowie!... Bądź-że zdrowa, mój skarbie! Śpij smaczno i niech-że ci się choć raz jeszcze raj przyśni!

— I waćpannie takoż! — odparła Ludmiła, a następnie odprowadziwszy pannę Agnieszkę do przeznaczonego dla niej pokoju, sama udała się również na spoczynek.

Lubo pan Siekierzyński nalegał bardzo, aby się ślub odbył coprędzej, a Bożena pozostawiła jego woli wybór dnia na tę uroczystość, to jednak pani Adamowa wyprosiła sobie dni kilkanaście potrzebnych do koniecznych przygotowań, gdyż wesele miało być, co to ha! I było rzeczywiście takie: sproszono wszystkich krewnych, koligatów, przyjaciół, znajomych, sąsiadów i włościan z dóbr Wisłockich, bo panna młoda pragnęła, aby w dniu jej ślubu wszyscy się cieszyli. Przyjechał także wielki hetman i sprawował urząd starosty weselnego.

Nadszedł nareszcie dzień naznaczony: Pan Bóg zdarzył pogodę cudną, dzionek był iście majowy, ciepły, wonny, pogodny, słoneczny, więc w wielkim dziedzińcu rozbito olbrzymi namiot, który miał pomieścić wszystkich gości. Do kościoła ruszono też odkrytemi kolasami; na samym przedzie jechała muzyka, a tuż zaraz szła wspaniała kolasa, cała zielenią przybrana, dar pana młodego, wioząca pannę młodą; za nią to biegły oczy wszystkich, olśnione i zachwycone jej przecudną urodą, spotęgowaną dziś jeszcze, a ona w powiewnych białych szatach ślubnych, w mirtowym wianeczku na skroni, z twarzą jaśniejącą szczęściem, siedziała w gronie pięknych, młodziutkich dziewic, jak w koszu ślicznych kwiatów. Za kolasą panny młodej ciągnął się niezmiernie długi szereg pojazdów, kolasek, bryczek i wózków, wiozących panny, matrony i starszych panów; młodzież zaś męzka wraz z panem młodym była wszystka na koniach.

Po powrocie z kościoła ruszono wnet do stołów, rozstawionych pod namiotem w dziedzińcu; stół główny, przy którym zasiadła młoda para i najprzedniejsi wiekiem, czy urzędem goście, stał w środku, na podwyższeniu, tak że mógł być widziany przez wszystkich biesiadników. Po prawej stronie Bożeny siedział hetman wielki i on też wzniósł pierwsze zdrowie młodej pary; poczem różni goście wznosili liczne zdrowie jak: króla, prymasa, hetmana, duchowieństwa, kobiet, rycerzy, włościan, wodzów, braci szlachty, gospodarza itd. itd. a uczta przeciągnęła się kilka godzin.

Na końcu jej, gdy już miano wstawać od stołów, podniósł się znowu wielki hetman i dał znak, że chce mówić; cisza zapanowała w około głęboka, każdy pragnął usłyszeć, co powie ten mąż znakomity, on zaś powstawszy, w te odezwał się słowa:

— Mości panowie i bracia! Na zakończenie uczty wznieść się nam godzi kielichy na cześć zgody i miłości, które jednoczą rodziny i kraje i do wielkości je wiodą. Sławiąc zaś te dwie przepiękne cnoty, niepodobna nie wspomnieć Gabryela Hołubka, którego duch jest tu niewątpliwie nas blisko, tak jak pamięć jego żyje w sercach naszych. Że dziś zgoda i pokój w kraju, to w znacznej części jego męztwu i poświęceniu winniśmy; on się też przyczynił cnotą swoją, że jedność i miłość łączy tę przezacną rodzinę, która nas dziś gości, a do której siostra jego zacna należy. Gabryel Hołubek jest nam nowym przykładem, że nie urodzenie, nie stan ale cnota i dobra wola człowieka wywyższają, czynią go pożytecznym, a nawet wielkim! Bo zaiste wielkim jest ten, kto kocha Boga i bliźniego, kto pełni ściśle swój obowiązek i umie się poświęcić dla braci. Nie każdemu dał Pan Bóg wielkie zdolności i sposobność do wielkich czynów; ale na każdego włożył obowiązki, przywiązane do jego stanu; skoro zaś człowiek spełni je należycie, wielką sobie zyskuje przed Bogiem zasługę, cześć mu się należy od jego współbraci. Bo w dobrze spełnionym obowiązku, cała wielkość człowieka! W ręku każdego człowieka i każdego narodu spoczywa jego szczęście, lub niedola! Gdy wszyscy pełnić będziemy swoje obowiązki i zgodnie, sfornie w jedności, a z miłością w sercu, dążyć do naszego celu, to go z pewnością osiągniemy. Ale biada narodowi, gdy rozterka, nienawiść i zazdrość wciśnie się pomiędzy jego synów! A jak cześć i sława należy się temu, kto przykładem i słowem uczy nas zgody i mi-

łości, tak wstyd, hańba i przekleństwo temu, kto rozbija i niszczy jedność narodową, kto braci burzy przeciw braciom, kto podżega jeden stan przeciw drugiemu. A jak pierwszy jest zbawcą Ojczyzny, przyjacielem i dobroczyńcą swych ziomków, tak drugi jest pomocnikiem szatana i największym wrogiem współbraci! Niestety! i w Ojczyznie naszej nie brak burzycieli i uwodzicieli; oto niedawno patrzeliśmy na skutki ich niecnej roboty, na wojnę domową. Dajże Boże, aby późniejsze pokolenia nasze, nauczone przykładem przodków, brzydziły się i odpychały od siebie tych, którzy rozdwojenie i nienawiść siać będą, a szły zawsze za tymi, którzy do zgody i miłości ich powiodą. Niech spojrzą wstecz: oto na niebie Ojczyzny naszej, jak gwiazda cudnego blasku jaśnieć i przyświecać im będzie imię Gabryela Hołubka! Z niskiego on wyszedł stanu, ale w sercu nie żywił nienawiści do bogatszych i wyżej postawionej braci; przeciwnie serce jego pałało miłością ku wszystkim; kochał Ojczyznę, kochał lud polski, kochał wszystkie stany, rządził się zawsze zgodą i miłością. Niechaj za to imię jego otoczy nieśmiertelna sława, niech pamięć o nim żyje w sercach wszystkich Polaków, a obok pamięci, cześć dla tych cnót przez niego umiłowanych: zgody i miłości.

Przemówienie to wielkiego męża wywołało silne wrażenie i niezmierny zapał; poruszyli się wszyscy, a w olbrzymim dziedzieńcu zagrzmiały głośne, przeciągłe okrzyki; jedni wołali:

— Sława i cześć pamięci Gabryela Hołubka! — a drudzy krzyczeli:

— Niech żyje miłość i zgoda w całym polskim kraju.

Pan Adam Wisłocki dziękował w imieniu rodziny, a mianowicie żony, która z gorącymi rumieńcami na ślicznej twarzy, z błyszczącemi oczyma i falującą piersią, stała drżąca i wzruszona do głębi, a serce jej wzbierało radością i szlachetną dumą.

Niebawem ruszono od stołów, muzyka zagrała i wśród powszechnej ochoty poszła młodzież w tany. Bawiono się noc całą przy blasku palących się stosów łuczywa i beczek ze smołą; dopiero wschodzące słońce przypomniało godownikom, że czas na spoczynek; jednakże wesele nie skończyło się razem z powstającym dniem, trwało ono cały tydzień, a śliczna pogoda sprzyjała zabawom.

Nareszcie syci zabaw i wesela jęli się goście rozjeżdżać; na samym zaś końcu, po rzewnem pożegnaniu, przy którem wiele łez serdecznych popłynęło, ruszyła i młoda para w podróż do swego gniazda, na piękne Podole. Wyjechała i panna Anna Wisłocka i cały orszak pana Marka, ale została panna Agnieszka, uproszona przez Ludmiłę, aby przy niej zamieszkała na ostatnie lata; staruszka zgodziła się chętnie, bo wychowankę swej uwielbianej ś. p. pani Elżbiety serdecznie kochała; jednakże to sobie wymówiła, że ile razy pani Adamowa pojedzie do Siekierzan i ją weźmie z sobą, aby raz po raz ucieszyć się mogła okolicą uszyckich jarów, którą uważała za najpiękniejszą pod słońcem krainę i zawsze nieco za nią tęskniła.

Semen cieszył się bardzo, że panna Agnieszka pomoże mu pielęgnować małego Gabrysia i Wojtusia, których zacni staruszkowie strzegli na każdym kroku i pieścili bez granic; pomagała zaś im w tem rzetelnie matka Maryśki. Poczciwa kobiecina mogła wygodnie mieszkać przy córce, ale nie chciała z dwóch powodów: najpierw mówiła, żeby jej wstyd było siedzieć na łasce u dzieci, kiedy może jeszcze długie latka pracować i wywdzięczyć się swojej dobrodziejce, a po drugie straciła w Olkuszu na zarazę czworo najmłodszych dzieci, smutno jej przeto było w tem mieście; prosiła tedy panią Adamową, aby ją wzięła na piastunkę do pierwszego synka, co też Ludmiła z radością uczyniła, wiedząc jak poczciwe serce będzie czuwało nad jej najmilszą pociechą.

Maryśka zaś była sobie wcale bogatą obywatelką Olkusza. Hołubek bowiem, pragnąc wynagrodzić dziewczęciu odwagę i poświęcenie, z jakiem spieszyła

po pomoc dla swych państwa, gdy ich Austryacy napadli w Wisłocku przeznaczył jej dom rodzinny, rolę i ogród na posag, a przed śmiercią prosił pana Zamojskiego, aby wolę jego Ludce oznajmił. Piękne wiano, uroda i cnota dziewczyny ściągnęła wnet siła konkurentów, lecz Marysia o zamążpójściu zrazu wcale słuchać nie chciała; oddała jednak rękę Maćkowi Szypełce, który ku dzielnemu dziewczęciu powziął serdeczny afekt i zwierzył się z nim swemu wodzowi. Maryśka wzdrygała się i Maćka przyjąć za męża, lecz dowiedziawszy się, że Gabryel życzył sobie ich związku przed śmiercią, zgodziła się chętnie, bo mówiła że każde życzenie szlachetnego dobroczyńcy jej rodziny jest dla niej rozkazem, który z radością spełni; była też bardzo z Maćkiem szczęśliwą, nigdy nie żałowała swego kroku i do śmierci nie przestała błogosławić pamięci Hołubka.

Maciek Szypełka posiadał znaczny majątek, na który składała się spuścizna po rodzicach i bracie, a także wielkie łupy zebrane na wojnie. Dwom więc młodszym siostrom żony przeznaczył ładne posagi, zaraz też starsza z nich poszła za mąż za Kostka, dawniejszego pachołka pana Adama, a dziś zarządzcę na onych trzech folwarkach darowanych przez wielkiego hetmana Gabryelowi, a które po bracie odziedziczyła pani rotmistrzowa.

Tak młodzi państwo Wisłoccy, jak Siekierzyńscy doczekali się licznego potomstwa. Wielka miłość łączyła zawsze te dwie rodziny, to też odwiedzały się często wzajemnie; Ludmiła z radością i rozrzewnieniem oglądała za każdym razem śliczne uszyckie jary, a Bożena z niemniejszem szczęściem zwiedzała rodzinny Wisłock.

Kiedy pani Markowa pewną już być mogła gorącej i wiernej miłości swego męża, powiedział jej pan Siekierzyński, że to pierwszy Hołubek zwrócił jego uwagę, gdzie powinien szukać małżonki od Boga mu przeznaczonej i jak szlachetny młodzieniec jeszcze w godzinę śmierci troszczył się o jej szczęście. Od tej chwili pamięć Gabryela była dla Bożeny niemal tak samo drogą, jak dla Ludmiły. Wszystkie dzieci, tak chłopcy, jak dziewczynki, w obydwóch rodzinach, nosiły Gabryela miano, jeśli nie na pierwsze to na drugie lub trzecie imię. Ile razy zaś zjechały się dwie młode bratowe, najmilszą dla nich rozmową było wspominanie przedwcześnie zgasłego bohatera. Mianowicie będąc tylko same, w letnie księżycowe wieczory, gdy przechadzały się czy to w zamkowym ogrodzie w Siekierzanach, czy w sadzie za dworcem w Wisłocku, a błoga cisza rozlana dokoła, śpiew ptaków, wonie kwiatów, tajemnicze rozchowory drzew, kołysanych lekkim wietrzykiem, roztkliwiały serca i upajały dusze, tedy to Ludka i Bożena ulatały myślą do drogiego zmarłego, wspominały jego cnoty i szlachetne czyny, jego odwagę, waleczność, miłość i poświęcenie, lecz często ogarniało je wzruszenie, nie pozwalające im mówić, więc milkły obydwie, z piersi ich wyrywały się ciche westchnienia, tęsknota za czemś nieznanem a upragnionem obejmowała serce, oczyma łezką zaszklone wpatrywały się w wyiskrzone gwiazdami niebo, jakby w poza światowych krainach odnaleść chciały ukochanego brata i przyjaciela.

Pan Wojciech Wisłocki dożył bardzo późnej starości, bo umarł w sto dwudziestym roku życia; doczekał się też wielkiej świetności swego domu. Wnukowie pożenili się z córkami znakomitych rodzin i zasiedli na senatorskich krzesłach; wnuczki powychodziły za mąż za dygnitarzy. Tak rodzina syna jak córki słynęła z cnót wielkich: mężczyzni odznaczali się męztwem, walecznością, poświęceniem dla kraju i rozumem; kobiety zaś zdumiewały pięknością i wdziękiem, ale były przy tem skromne i gospodarne; nadto dwie te rodziny żyły w niezwykłej zgodzie i jedności, a członkowie ich kochali się tak bardzo, że jeden za drugiego obstawał fortuną, krwią, nawet życiem.

Natomiast dom Zborowskich podupadł zupełnie i nigdy się już nie podźwignął. Król Zygmunt odebrał mar-

szałkostwo nadworne panu Andrzejowi, a Krzysztof umarł na wygnaniu. I tak to ta świetna niegdyś i jedna z najpierwszych w kraju rodzin wygasła marnie; pamięć zaś po niej została smutna, bo każdy kto ją dziś wspomni to z pogardą i ze wstrętem. Niczego Pan Bóg nie karze tak ciężko, jak pychy, gdyż ta wiedzie do najcięższych zbrodni; krew bratnia w wojnie domowej wylana, spadła przekleństwem na ich głowy. Takie też przekleństwo Boże spadnie na rody tych wszystkich, którzy podburzają braci na braci, którzy jeden stan podjudzają przeciw drugiemu.

Wcale inne wspomnienie, nietylko we własnej rodzinie, zostawił po sobie prosty górnik Gabryel Hołubek: imię jego zapisane na kartach historyi polskiej wspominane jest do dziś ze czcią, dumą i miłością; bo zaiste! każdy Polak dumnym być może, że jest ziomkiem Gabryela Hołubka, i synem polskiej ziemi, która takich mężów wydaje.

Chcąc jednak, aby i ten zacny górnik nie wstydził się tam w górze za nas braci i ziomków swoich, chcąc, aby i nasze imię późniejsze pokolenia ze czcią i miłością wspominały, powinniśmy naśladować cnoty Hołubka; mianowicie jego gorące zamiłowanie jedności i zgody; poświęcenie bez granic i wielką miłość Ojczyzny. Dziś nie potrzebujemy krwi przelewać i życia oddawać za Ojczyznę; nie tego żąda od nas ta matka nasza! Ale zostawiła ona nam w spadku nieocenione skarby, których strzedz powinniśmy troskliwie i cenić je sobie nad życie. Te skarby przekosztowne to: wiara św., język ojczysty i staropolski obyczaj. Pamiętajmy więc, że jeżeli chcemy okazać się dobrymi synami ojczyzny, zyskać szacunek i miłość u potomków naszych, to powinniśmy być gotowi wszystko poświęcić, żadnych trudów, kosztów i mozołów nie żałować, byle je tylko przechować nienaruszone i w całości przekazać dzieciom naszym.

Co gdy uczynimy, to nietylko poczciwe imię zostanie po nas na ziemi, ale gdy ją już opuścimy, z miłością Boga i bliźniego w sercu, wtedy możemy być pewni, że za spełniony obowiązek względem ziemskiej ojczyzny, posiądziemy ojczyznę niebieską i wspólnie z przesławnymi i świętymi przodkami naszymi cieszyć się będziemy wieczną chwałą, szczęściem i miłością.

KONIEC.

# NA PRZESILENIE WIOSENNE.

Po niebie gna tumany chmur
Szalony wicher marcowy,
Rozdziera strój, na szczytach gór,
Twój zimo strój lodowy.
W tych kłębach chmur, co błyskawicą
Czerwone, gromem biją,
Zawitaj nam dziewico,
Zawitaj nam Maryo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi,
Że w grozie tej jest pączek róż.
Lecz, Matko, świeć tej łodzi,
Co z mórz się szałem grzmiącym łamie;
O Gwiazdo mórz ty święta
Wierzącym daj twe ramię —
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych drzew
Nawpół wygląda z pąków,
I ponad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków.
O Maryo, ty Miłości zdroju,
Rolnika spełń nadzieje,
Niech twoje nań w pokoju
Błogosławieństwo wieje!

I ptaszkom daj na gniazdo cień,
W rozkwitłem państwie lasu;
I ludziom daj miłości dzień
I rozkosz daj wywczasu.
Gdy przyjdzie maj, Krynico łaski,
Cór ziemi przyjmij wieńce:
Ty w cnoty je ubierz blaski,
Ty daj im oblubieńce!

Dla wielu, wiesz, że wicher ten
Jest innej wiosny zwiastun,
Że kości ich na wieczny sen
Grób zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających
Maryo Matko święta,
Z dusz w Ciebie ufających
Zdejm ciała ziemskie pęta!

I ucho daj modlitwom łez
Na mogił smutnem polu,
W twą pieczę weź mirt, lilię, bez
Posadzon ręką bólu.
Siej Maryo, Matko ty boleści,
Na groby zapomniane
Lub skryte gdzieś bez wieści —
Podarki Twe wiośniane!

# Wyprawa Nansen'a do bieguna północnego.

Po całym świecie cywilizowanym rozbrzmiewa obecnie sława Norwegczyka Fritjofa Nansena jako odkrywcy bieguna północnego. Świat uczony twierdzi, że odkrycie bieguna północnego byłoby najsławniejszem w bieżącem stuleciu. Cóż to są bieguny północny i południowy? To są osie, około których obraca się ziemia. Jak na nich wygląda, tego nikt nie wie, bo nie znalazł się śmiałek, któryby się zdobył na to, ażeby tamdotąd wyruszyć, a po drugie miałby okropne trudności do zwalczenia. Te trudności zwalczył, jak się zdaje, Nansen. Czy rzeczywiście dotarł do bieguna, o tem nikt pewnego nic powiedzieć dotąd nie potrafi, bo o odkryciu gruchnęła wieść dopiero przed miesiącem zaledwie, a miesiące całe mogą przejść jeszcze, zanim Nansen z pod bieguna powróci, ażeby własnemi usty dać świadectwo o prawdzie. Jak biegun północny wygląda? Tego nauka zbadać nie zdołała. Sławny powieścio-pisarz Juliusz Verne napisał powieść »Przygody kapitana Hatterasa.« Wystawia on sobie w niej, że do bieguna północnego dotrzeć można. Nie tworzy ani otacza go pole lodowe, lub woda, ale stały ląd. W samym środku istnieje wulkan. Wyspa wulkanowa otoczona jest naokół morzem, wolnem od lodów, mającem 11 stopni ciepła, błękitnem jak włoskie niebo, niesłychanie głębokiem i świecące odblaskiem dziwnych zjawisk elektrycznych. W głębinach żyją potwory, których gdzieindziej napotkać nie można, potwory mające po 30 metrów długości, nadto olbrzymie rośliny. Ponad powierzchnią wody unoszą się setki dziwnego ptactwa. Magnetyczne zorze, niewiedzieć zkąd powstające a wspaniałe jak baśń z nocy biegunowej robią jakiś inny, czarodziejski dzień. Wulkan sam natomiast ma być wysoką, skalistą, martwą górą bez śladu roślinności.

Tak ma wyglądać na biegunie północnym podług powieści Vernego. Niejedno, co ten pisarz sobie w głowie wymarzył, sprawdziło się. Odczekamy zatem, czy sprawdzi się to, co pisze o biegunie północnym. Nansen sam, to podróżnik niezwyczajnej miary. Śmiałość, wytrwałość, pogarda życia idzie u niego w parze z wielką znajomością fachową przedmiotu, któremu się oddaje, wielką bystrością, przenikliwością a nadewszystko darem spostrzegawczym. Ten ostatni zwłaszcza dopomaga mu nadzwyczaj w jego zuchwałych, pełnych niebezpieczeństw podróżach naukowych. Nie po raz pierwszy puszcza się on w strony północne. Zawsze i bezustannie zaś hartował swe ciało, ażeby wytrzymać mrozy, które nieraz dochodziły do 50 stopni Celziusza. W domu u siebie wśród tęgich mrozów zasypiał na dworze, otulony jedynie kożuchem. Sypiał w ten sposób do 2 i 3 godziny w północ, dopóki mróz nie zmusił go reszty nocy przepędzić w łóżku.

Powiedzieliśmy powyżej, że Nansenem kieruje przedewszystkiem niezwykły zmysł spostrzegawczy. Ta zaleta przyczynia się właśnie do tego, że najnieprawdopodobniejsze podróże mu się powiodły, ponieważ liczył się z takimi właśnie objawami, które innym na myśl nie przyszły, lub które przyczyniły się do upadku innych podróżników. Przy wyprawie pod biegun północny zmysł spostrzegawczy odegrał niepospolitą rolę. W roku 1887 puściła się pod biegun wyprawa amerykańska na statku »Jeanette.« Statek rozbił się na północ od nowosyberyjskich wysp. W trzy lata później znaleziono szczątki rozbitego okrętu na południowem wybrzeżu Grenlandyi, to jest po przeciwnej stronie bieguna. Jakiś prąd morski, przepływający biegun, uniósł je zatem ze sobą. Otóż Nansen wpadł na tę myśl, ażeby ten prąd wyzyskać i stósownie do tego przygotował całą swą wyprawę, wiedząc, że natrafi w mroźnych sferach na lody, w których nieraz będzie się musiał zatrzymać. Kazał zbudować okręt, który nie ugrzęźnie w lodowcach, i którego lody niezdolne zgnieść i zdusić. Okręt nazwał »Fram«, po polsku »Naprzód«. Ma ten statek dziwny, śmieszny kształt, jest krótki, szeroki, pękaty o wydętych bokach. Na zewnątrz okryty jest powłoką, chroniącą go od lodów. Obliczony był na 12 osób. Kosztował duże pieniądze. Sama powłoka zewnętrzna kosztowała



**OKRUTNA IGRASZKA.** (Obacz objaśnienia rycin na str. 96).

20 tysięcy szwedzkich koron. Statek jest właściwie żaglowcem, ale ma też do rozporządzenia maszynę parową o sile 156 koni. Ściany okrętu są przeważnie zbudowane z dębu włoskiego, które to drzewo wyleżało się było około 30 lat pod dachem. Dostatecznie więc wyschło. Wnętrze wyłożone jest fiszbinem na 4 do 8 cali grubości. Zewnętrzna strona okrętu składa się również z trzech warstw. Tuż po właściwym szkielecie drzewnym przychodzą płyty dębowe, grube na 3 cale, przymocowane galwanizowanemi gwoździami okrętowemi. Na to przychodzi czterocalowy pokład dębowy. W końcu dopiero przymocowano materyą, która ma chronić okręt od ugrzęźnienia w lodach. Powłoka co do grubości wzrasta z 3 na 6 cali. Ściany mają więc razem grubości 70 do 80 centymetrów. »Fram« zabrał ze sobą 8 łodzi, 3 większe, 5 mniejszych, ażeby mogły pomieścić w sobie całą załogę i żywność na kilka miesięcy.

Przedsięwziął zatem Nansen wszelkie środki ostrożności, ażeby w drodze nie zaginąć. Być może, że mu się wyprawa powiodła, albo powiedzie. Wyruszył on na nią w Czerwcu roku 1893 z miasta stołecznego Norwegii, Chrystyanii. Dwa i pół roku zatem przeszło upłynęłoby od tej chwili.

Wszelkie wiadomości o odkryciu bieguna północnego należy przyjmować dotąd z wielkiem zastrzeżeniem. Niema dotąd żadnej wiadomości, któraby miała źródło prawdziwie pewne. Pierwsza wiadomość przybyła z Irkucka, stolicy Syberyi zachodniej. Do Irkucka zaś wieść o epokowem odkryciu przyjść miała od burmistrza miasta Kołymska. Ów burmistrz zaś miał swych wiadomości zasięgnąć od dostawcy Nansena. Ów dostawca jest w każdym razie osobą niepewną. Jakże on bowiem może stykać się z Nansenem przy biegunie północnym z taką łatwością. Z rozlicznych innych wiadomości, z których jedne przemawiają za, drugie przeciw odkryciu bieguna, nie prędzej coś przyjąć możemy za rzecz pewną, dopóki sam Nansen powracając, nie zleci komuś ogłoszenia ważnej wiadomości lub sam się z nią nie podzieli z światem cywilizowanym.

Telegramy ostatnie głoszą, że Nansen powraca z pod bieguna północnego.

# SĄDOWNICTWO W CHINACH.

(Dokończenie.)

Więzienia w Chinach budowane są bardzo pojedyńczo, jak i inne domy. Wypadki ucieczki są jednak bardzo rzadkie, bo: wychodzić można jedynie przez podwórze więzienne, winowajcy są do siebie przykuci kajdanami, czy to na ręce, czy na nodze, a w końcu w około więzienia ustawioną jest bardzo liczna warta. Wyroki śmierci zatwierdza lub znosi sam cesarz chiński, a takich wyroków liczy się w roku na tysiące. Wyroki te przegląda cesarz zwykle w jesieni. Komu pragnie życie darować, nad tegóż nazwiskiem zatacza ołówkiem czerwonym koło. (Cesarz chiński pisze tylko czerwonym ołówkiem). Drudzy zaś wędrują bez miłosierdzia pod miecz lub stryczek. Władze chińskie spieszą się zaś nadzwyczaj z wykonaniem wyroku. Skoro tylko przyjdzie zatwierdzenie wyroku śmierci, zaraz wyprowadzają więźnia w nowem ubraniu na miejsce stracenia i tam go wieszają lub ścinają.

Po opuszczeniu więzienia zaprowadził mnie mój tłómacz na osławiony rynek garncarski, którego ziemia przesiąkła jest krwią tysięcy nieszczęśliwych. Osobnych placów tracenia niema w Chinach. W Pekinie tracą ludzi publicznie w pobliżu miejsca, gdzie się odbywa targ na jarzyny, w Kantonie zaś na rynku garncarskim. Garncarze przerywają na pewien przeciąg czasu pracę, robi się miejsce wolne, a gdy skazańcy zostaną straceni, natenczas podejmują swą czynność na nowo. Powieszenie uchodzi w Chinach za śmierć mniej hańbiącą i jest skazańcom nawet milszą od ścięcia — śmierć gwałtowna nie wydaje się znowu Chińczykowi rzeczą tak straszną, gdyż na drugim świecie według jego mniemania zachowa w całości wszystkie swe członki! Ścięty zaś przychodzi na drugi świat do swych przodków bez głowy a jakże ofiary późniejszych pokoleń mogą go znaleść, skoro ciała jego nikt nie pozna? Dla

tego krewni i przyjaciele ściętych, którzy otrzymują ciało do pochowania, przyszywają zwykle głowę do tułowia.

Na rynku garncarskim pokazywał mi mój przewodnik krzyż, na którym krótko przedtem torturowali zbrodniarza. Obok zaś leżała rogóż z słomy, a w niej jakiś przedmiot. Gdy przewodnik rogóż usunął, pokazała się ku memu przerażeniu krwawa głowa ludzka. Obok leżał pień drzewa, wysoki na stopę, na którym były ślady krwi i rozliczne głębokie wcięcia. Nie mogłem sobie przeznaczenia tego pnia wytłómaczyć. Przewodnik wymienił mi na to słowo Lei-tszei i uczynił prawą ręką znak, że na owym pniu odbywa się tracenie przez rozsiekanie. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że kiedyś w mieście Hong-kong widziałem na fotografii podobny pień. Lei-tszei jest karą, przepisaną przez prawo na zabójców rodziców i wykonuje się w ten sposób, że skazańca kat rozsiekuje na tysiąc kawałków, zanim mu głowę zetnie. Jeszcze obecnie istnieje ten sposób tracenia a wykonują go na tuzinach ofiar rocznie.

Jest jednakowoż jeszcze jeden rodzaj gwałtownej śmierci, gorszy od poprzedniego. W wielkiem mieście Futszau połączoną jest jedna część miasta z drugą przez sławny »Wan-szan-Wian«, to jest »most dziesięciu tysięcy starców«. Tam wśród rozlicznych kramów i publicznych targów widzi przechodzień nieraz klatkę, zrobioną z trzciny bambusowej, w której zbrodniarz kończy swój żywot, wystawiony na najdokuczliwsze katusze od promieni słonecznych. Szyja mieści się pomiędzy dwoma deskami, które głowę trzymają tak wysoko, że nieszczęśliwy zaledwie palcami nóg dotyka ziemi. Skrawki papieru, nalepione na klatce, oznajmują przechodniom rodzaj zbrodni skazańca. W tej klatce przebywa nieszczęśliwy przez kilka dni, dopóki śmierć nie wybawi go od tych powolnych katuszy. Podobne klatki znajdzie wędrowny i po innych miastach chińskich.

Chociaż mandaryn nie ma prawa rozporządzania życiem lub śmiercią zbrodniarzy, ma jednak inne środki, które gorsze są od samej śmierci. W Chinach istnieją bowiem jeszcze tortury. Zbrodniarza nie prędzej skazują, dopóki sam się do winy nie przyzna, choćby dowody winy były jak najoczywistsze. Dopiero, gdy sam podpisze winę swoją, a często uczyni to i niewinny, ażeby tylko ujść tortur, wtedy wymierzają mu dopiero rodzaj kary.

Najwięcej używane w Chinach narzędzia do torturowania, są: rodzaj śrub na ręce i nogi, klęczenie na łańcuchach, na odłamkach szkła, w które sypią sól, ażeby tem więcej bolało i t. d. Ten sposób wymuszania świadectwa jest tem wstrętniejszy, że podlegają mu nietylko zbrodniarze, ale nawet oskarzyciele i świadkowie, ażeby wydobyć z nich więcej zeznań. Jeśli oskarzonych jest mnóstwo, natenczas pakują ich wraz z świadkami do więzienia i trzymają tak długo, dopóki mandaryn nie znajdzie czasu, ażeby ich osądzić. To samo już Chińczyków odstrasza od sądzenia się. Gdy ktoś wskutek tak okrutnego postępowania umrze, natenczas starają się o ile możności zatrzeć ślady wypadku. Mandaryni, jak już zaznaczyliśmy, pozwalają się przekupywać i zwykle ta strona wychodzi z sprawy cało, która potrafi dobrze płacić. Nie dziwić się zatem, że każdy bogatszy Chińczyk dąży do tego, ażeby zostać urzędnikiem. Wtedy bowiem łatwo mu się zbogacić. Gdy jednak w końcu mandaryn za bezwstydnie sobie postępuje, natenczas udają się do niego ojcowie miasta i grzecznie proszą, ażeby miasto opuścił. Przynoszą równocześnie lektykę, mandaryn do niej wchodzi, poczem go wyprowadzają za miasto. W podobnych wypadkach przyznają wyższe władze słuszność ludności i naczelnik prowincyi lub rząd mianuje innego mandaryna.

Częściej jeszcze, jak bastonadę, przeznaczają na przestępców tak nazwany »karg«. Karg składa się z dwóch desek, które z boku są wyżłobione. Te deski wkładają przestępcy na szyję i łą-

czą je ze sobą łańcuchami lub zasuwkami. Noszenie tych niedobrowolnych krezów byłoby jeszcze pół biedy, choć ważą same w sobie 15 do 20 kilogramów. Główna męczarnia polega na tem, że winowajcy przez przeciąg miesiąca do trzech miesięcy nie wolno tego zdjąć. Biedak może więc spać jedynie siedząco lub stojąco, sam nic do ust wziąć nie zdolen, ponieważ obroża jest tak szeroka, że ust przez nią nie dosięgnie. Musi więc czekać, aż jaka ręka litościwa go nakarmi. Na deskach nalepione są kartki papieru, na których wymienione jest przestępstwo winowajcy.

I kobiety bywają skazywane do noszenia karga, a często do jednego karga przymocowują ich aż trzy. Nie mogą biedaczki chwycić się zatem za czupryny, gdy się o coś powadzą, karg bowiem przeszkadza im w tem.

Więzienia w Chinach w ogólności nie są tak przepełnione, jak u nas w Europie, sprawdza się zatem życzenie cesarza chińskiego, ażeby poddani jego przebaczali sobie nawzajem a nie procesowali się i nie przepełniali więzień.

# ZA MATULĄ.

Stary Matus, saniami zaprzężonemi w parę siwych wołów, zajechał przed »Chatę na pustkowiu.«

Tak zwano ubogą siedzibę na skraju lasu, należącą dawniej do zmarłego kowala a później do pozostałej po nim wdowy i dwojga sierót.

Od czasu jego śmierci nikt prawie nie zaglądał do tej chaty; oddaloną była od wsi o parę wiorst i ludzie przeniósłszy się z robotą do innego majstra, zapomnieli o pustkowiu i o jego mieszkańcach.

Kowalicha przeto musiała pamiętać o sobie i o sieroteńkach; aby je wyżywić, w lecie trudniła się wyrobkiem w polu a w zimie żebraniną. Chaty na pustkowiu nie porzucała, bo nawykła do niej, a zresztą i podziać by się z dwojgiem dzieci gdzieindziej nie miała.

Jadła z dziećmi wyżebrany chleb, rosząc go łzami. Letnich zarobków nie starczyło na zimowe przyodzienie i na codzienną ciepłą strawę. O chłodzie i głodzie wlokła tedy krwawy żywot przez lat parę, aż wreszcie wycieńczona nadmierną pracą, zapadła ciężko i zmarła.

Kilka litościwych kobiet, pomimo mroźnej grudniowej pory przywlekło się, aby oddać ostatnią usługę i zaopiekować się sierotami.

Przyjechał też i stary Matus, który powodowany jedynie miłością chrześciańską, zajmował się eksportacyą zwłok biedaków z całej parafii. Siwe woły Matusa i wóz drabiniasty albo sanie znane były wszystkim wybornie.

Gdy Matus zajechał, kobiety zebrane w izbie wybiegły przed chatę.

— Niech będzie pochwalony! — pozdrowił je Matus, uchylając olbrzymiej baranicy, którą miał nasuniętą po same oczy.

— Na wieki wieków! — odparły chórem kobiety.

— A jest tam który chłop w izbie? — zapytał Matus zsiadając z sani.

— Bogać... a toć tera młocka przedświąteczna!...

— No to wy baby pomóżta mi przenieść niebożczkę na sanie.

— O wa!... — zaprotestowały z pewnym przestrachem kobiety — przyjechaliśta po nią, to ją bierzta...

Matus machnął ręką i wszedł do izby, zdjąwszy wprzód na progu czapkę.

Na środku izby stała przykryta już wiekiem trumna, zbita z nieociosanych desek.

Zimny promień słońca, wdzierający się przez powleczone grubą warstwą




**Jakie życie, taka śmierć.** (Obacz objaśnienia rycin na str. 96.)

szronu szyby, ślizgał się po ubogich sprzętach, uwydatniając chudobę chaty.

Nieumyte, z zaschniętemi resztkami strawy garnki, wymownie świadczyły, że od kilku już dni nie dotknęła ich ręka gospodyni.

Spopielałe zimne ognisko na kominie, z resztkami niedopalonych, wilgotnych głowni, wiało od siebie zapomnieniem i mrozem... zdawało się, że i ono umarło gdy niestało tej, co tchnieniem swej wychudłej piersi rozdmuchiwała tlące pod popiołem iskry.

Tuż przy wystygłem ognisku, tuląc się do okopconej ściany, siedziało dwoje zalęknionych dzieci, okrytych w lichy przyodziewek: ośmioletnia Jagusia i pięcioletni Pietrek.

Z otwartemi szeroko oczami, wyrażającemi źdźiwienie, przestrach i ciekawość, patrzyły na niezwykłych w chacie licznych gości, na starego Matusa i jego duże siwe brwi, nadające całej fizyognomii wyraz surowy...

Nikt zdawał się nie zwracać uwagi na tych dwoje dzieci; wszyscy zajęci byli nieboszczką...

Matus wszedłszy do chaty przeżegnał się.

Kobiety, choć się wpierw zarzekały, pospieszyły mu z pomocą i wkrótce połączonemi siłami zdołano przenieść trumnę ze zwłokami na sanie.

Matus raz jeszcze się przeżegnał, potem nasunąwszy na same brwi baranicę, chciał już ruszyć, gdy nagle, przypomniawszy sobie o dzieciach nieboszczki, zapytał:

— A dzieciaki?...

— Zabierzema je do wsi; ja wezmę dziewuchę a chłopaka przyhołubi Jędrzejowa.

— To nie to... — machnął ręką Matus — przecie bo ich matula, to trza, żeby szły do grobu — zauważył.

— Kaj tam do grobu... taki ziąb... Pietrek z gołemi nogami... zmarznie!...

— Toć pewnikiem, że w chacie są jakie stare buciska — powiedział Matus i wrócił do chaty.

— Pietrek, pójdziesz za matulą? — zapytał dobrotliwie.

Pietrek otworzył szeroko oczy, jeszcze szerzej usta i nic nie odpowiedział.

— Pójdziesz? — powtórzył Matus zapytanie.

— A no! — odparł kiwnąwszy głową Pietrek.

— A macie tu jakie buciska? — zwrócił się stary do dziewczyny.

— Matuline... stare... — wyjąkała Jagusia.

— Toć duże... a twoje Jaguś?

— A są — odparła Jagusia, podnosząc nogę do góry i pokazując względnie do swego wzrostu i drobnej postaci dość duże buty.

— To obuj ty matuline, a Pietrek twoje — doradził Matus.

Dzieci usłuchały i Pietrek wciągnąwszy na nogi, zapewne po raz pierwszy w życiu, ogromne buty, spojrzał na nie z widocznem zadowoleniem i rozśmiał się głośno.

— Pietrek, cichoj... matuś zmarła! — zmonitowała go Jagusia, pojmując już wielkość straty i uroczystość chwili.

Śmiesznie zaiste wyglądały dzieciaki w nieproporcyonalnie wielkich butach, które tamowały swobodę ruchów.

Kobiety też, stojące przed chatą, nie mogły się na ten widok powstrzymać od śmiechu.

Tymczasem sieroty stanęły tuż przy saniach, czekając aż kondukt ruszy.

Kobiety naradzały się między sobą: iść czy nie iść na cmentarz?

— A toć pół mili drogi, a niedługutko wieczór. Ja dla »mego« muszę zgotować wieczerzę...

— I ja także...

— I my... — odezwały się inne i zdecydowały, że obejdzie się bez nich.

Zresztą i tak już wiele uczyniły, że obiecały wziąć do siebie sieroty — żebraczki.

— A pamiętajcie Matusie o sieroteńkach i przywieźta je cało i zdrowo do wsi!...

(Dokończenie nastąpi).

# WĘGRY.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz krewni i przyjaciele towarzyszą żałobnemu obrzędowi. Cmentarz jest zawsze blisko wsi i chowając umarłego, Węgrzy uważają, aby go obrócić twarzą ku wschodniej stronie. Po pogrzebie orszak powraca do chaty zmarłego, gdzie czeka zastawiona stypa zwana »tor.« Ta uczta jednakże poważna bywa i uroczysta. Pamięć zmarłego panuje nad umysłami; tylko szmer modlących się żebraków przerywa ponure milczenie.

Madziary szczególne mają upodobanie w schludności i porządku; prawdziwie, że warci są w tem naśladowania. W wigilię każdego święta pobielają dom wapnem, często myją podłogi i sprzęty. Nie widać tam, żeby ludzie pod jednym dachem mieszkali z bydlętami. Ławki, stoły, naczynia poustawiane regularnie wkoło ścian, zawsze są czyste i starannie utrzymane; izba codziennie zamieciona. Najuboższy madziar zmienia co tydzień bieliznę, włosy utrzymuje czysto, smarując je sadłem lub słoniną; wąsy z równym pielęgnuje staraniem, a co do golenia, jeżeli nie celuje zręcznością, za to każda wieś ma dwóch lub trzech cyrulików.

Niezbędny sprzęt chaty wiejskiej, składa się z łóżek, stołu, kilku ławek lub stołków, z wielkiej szafy i kilku malowanych skrzynek. Na wielkich półkach rozstawione są miski, talerze i kolorowe dzbany. Na ścianach wiszą obrazy przedstawiające świętych, a szczególniej Najświętszą Pannę. Gospodyni madziarska umie utrzymać ład domowy, a niektóre przysmaki jej przyrządu mogłyby ujść na magnackich stołach; wreszcie nie brakuje jej zasobu. Zwyczaj jedzenia mięsa tak jest upowszechniony w Węgrzech, że każdy wieśniak używa go codziennie; oprócz tego do rzędu zwykłych potraw należy kapusta kwaśna, mleczywo i kluski. Słonina surowa z chlebem jest też ulubionym przysmakiem Węgrów, równie jak każda tłustość, którą dla strawności posypują pieprzem tureckim (papryką).

Włościanin madziarski lubi swoją wieś, ale głównie kocha rodzinne stepy rozległe i życie pod gołem niebem. Otoczony trzodą, oddychając świeżem powietrzem, z biczem w ręku, w butach z ostrogami, odziany kożuchem, zupełnie jest z takiego życia zadowolony i bynajmniej do miasta nie tęskni. Ale i ochota do wojaczki nigdy w nim nie umiera. Na pierwsze hasło wojenne, gotów porzucić trzodę a ruszyć na pole walki; słowo cześć brzmi ustawicznie w jego ustach i umie on wyrazić je czynem; przy zdarzonej okoliczności rusza na wroga z tą samą powagą, jaką zachowywał pasąc trzody.

Wnijdźmy do chaty węgierskiej, a zobaczmy ojca siedzącego poważnie wśród pacholąt, przybranych w buty z ostrogami. Najmilszą ojca uciechą jest zaprawiać chłopców od maleńka do konia. Dziecko chwyta się oburącz grzywy, rusza w cwał, a jeśli nie spadnie, ojciec głaszcząc je, mówi, jesteś człowiekiem; na te słowa chłopiec rumieni się z radości i w istocie czuje się być mężczyzną. Takie wczesne przywyknienia szczepią w sercu pacholąt uczucie osobistej godności, która wymownie odbija w spokojnem ich obejściu, w poszanowaniu ku starszym, w mowie pełnej grzeczności zachęcającej do wzajemnych względów, do nieuchybiania nikomu, ale też do słusznego wymagania tego, co się od drugich należy.

Wszakże pomimo powagę taką i grzeczność dochodzącą niekiedy do wyszukania i ceremonialności, madziarowie nie są obłudni; owszem umieją serdeczną okazywać otwartość i pod tym względem mają dużo do polaków podobieństwa.

Pomiędzy prostym ludem madziarskim, najciekawsi są pasterze koczujący, znani pod nazwiskiem «gulyasów« (wolarzy), »juchasów« (owczarzy), »kanaszów«

(pasterzy trzody chlewnej) i »czikosów« (pasterzy koni). Są to prawdziwi Węgrzy z cerą ciemną, rysami wydatnemi i regularnemi, z okiem błyszczącem, wąsem gęstym i podkręconym w górę, z długiemi czarnemi włosami, częstokroć splecionemi we dwa warkocze na skroniach. Ubiór ich składa się z szerokich spodni płóciennych, z frędzlą u dołu, z wysokich butów, krótkiego kaftana ze skóry baraniej, kapelusza z szerokim brzegiem, w dnie uroczyste przybranego wstęgami i kwiatami, nakoniec z długiego płaszcza siwego (szür) wyszywanego zrzynkami sukna w różne kwiaty, wśród których przemaga tulipan. Noszą oprócz tego szeroki pas skórzany, otoczony kółkami i torebkami na schowanie różnych potrzebnych narzędzi: broń ich stanowi toporek oprawny w kij, którym odganiają wilka, lub inne zwierzę. Pasterze ci nie wiele umieją czytać na książce, ale za to czytają wybornie w oczach wiernych towarzyszów, powierzonych ich straży; wyczytują także w gwiazdach nietylko zmiany powietrza, ale niemniej przygody czekające ich w życiu. Praojcowie ich, starzy koczownicy azyatyccy, nie mogli żyć w większej prostocie. Między nimi a sąsiednią ludnością niemiecką niesłychany jest przedział.

Podróżujący stepem widzi na ogromnej przestrzeni rozrzucone stada bydła z białą sierścią, które pasą się przez cały rok pod gołem niebem: to bydło w zupełnie dzikim stanie nigdy nie oddychało dusznem powietrzem obory i nie znało jarzma, ani powrósła.

Krowy cielą się w Lutym, a maleńkie cielątka pląsają w śniegu obok matek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# OBJAŚNIENIA RYCIN.

**Okrutna igraszka.** Swawolniś mały chwycił myszkę. Wie on dobrze, że zwierząt męczyć nie należy, bo i one mają czucie. Mysz jest szkodliwem zwierzątkiem i należy ją tępić, to prawda, ale znęcać się nad nią nie trzeba. Mały nicpoń urządził sobie jednak z niej zabawę, zanim ją rzuci na pastwę psu lub kotu, lub zatopi. Uwiązał do ogona nitkę i wodził ją w ten sposób po całym pokoju. Siostrzyczki, które z początku uczuwały litość nad stworzeniem, powoli poczęły wypogadzać twarze na widok usiłowań zwierzątka, ażeby się uwolnić i czmychnąć. I matka, siedząca nad kołowrotkiem, uśmiecha się z pewnem zadowoleniem, choć w duszy zagniewana jest na psotnika. Choć zabawka ta nie jest w gruncie rzeczy tak okrutna, mimo to powinno się zabraniać dzieciom bawić się w ten sposób. Znieczula się bowiem szlachetniejsze porywy, serce dziecka traci powoli łagodność i czułość i w późniejszym wieku nietylko nad zwierzątkiem, lecz i nad dolą bliźniego nie będzie uczuwało współczucia i litości.

**Jakie życie, taka śmierć.** Scena, przejmująca do głębi. W dolinie leży z pogruchotanymi członkami kłusownik. Zamierzał umknąć przed ścigającym go leśniczym, a nie widząc innej drogi wyjścia, rzuca się z skały i odbiera sobie życie. Kto rozważy sobie bieg życia kłusownika, ten musi w końcu westchnąć litościwie nad nim. Kłusownik nie zazna szczęścia prawdziwego na tym świecie, czuje on to sam bardzo dobrze, zawsze on niepewien jutra, ciągle musi sokolim wzrokiem i natężonym suchem dawać baczność, czy mu przypadkiem nie zagraża nieszczęście. A jak się musi wystrzegać, ażeby go nie pozwano, ażeby go nie oddano w ręce sprawiedliwości. Wie on dobrze, że mógłby wieść życie bez trosk i kłopotów, ale kłusownictwo to słabość jego, to narkotyk, który go odurza, to namiętność, której mimo najszczerszych zamiarów pozbyć się nie może. Kłusownik czuje, że namiętność doprowadza go nad brzeg przepaści, ale biernie się losowi swemu poddaje, byle nie pozbywać się przyjemności strzelania zwierzyny. I oto na taki koniec przyszło kłusownikowi. Leży tam z rozbitą czaszką i z pogruchotanymi członkami. Jak za życia za żadne pieniądze nie byłby się oddał w ręce sprawiedliwości, tak i w obliczu śmierci nie myśli poddawać się leśniczemu. Woli umrzeć, aniżeli tracić wolność. Nie chce on uznać, że grzeszy, zabijając cudzą własność, sądzi, że ma do tego prawo, jak każdy inny i nie może się pogodzić z myślą, ażeby miał to przypłacać utratą wolności. Woli umrzeć, aniżeli hańbić siebie i rodzinę swoją. Taki to oto smutny koniec człowieka, który namiętności złych zwalczać w sobie nie potrafi.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

# NA SŁOŃCU.

Nareszcie pozwolono mi wstać z łóżka, po dwumiesięcznem leżeniu. Dwa miesiące przymusowych wakacyi, to dla matki i gospodyni za wiele; ale z chorobą żartów niema, ja zaś podobno byłam chora nawet niebezpiecznie. Poczciwa ciotka Barbara ubrała mnie, otuliła i usadowiła w fotelu, przy oknie, na słońcu.

Było to w pierwszy dzień Wielkanocy, śnieg nie padał, gałęzie drzew nie srebrzyły się od szronu a słońce już dogrzewało. Przy oknie uczułam senność, i mimowoli przymknęłam oczy. Nagle znalazłam się na wielkiej, bezbrzeżnej równinie, okrytej kobiercem zieloności.

Rozglądając się dokoła, spostrzegłam dwa wzgórza, podnoszące się z ziemi; jedno wyższe i większe, utworzone było z grudy i kamieni, wśród których rosły ciernie, pokrzywy i inne chwasty, więc wyglądało smutno, dziko; drugie znacznie mniejsze i niższe, kąpało się w zieleni, pokryte było mnóstwem prześlicznych kwiatów, do których kielichów zaglądały pszczoły i motyle.

Wkrótce równina, przed chwilą pusta, zaroiła się ludźmi, ukazały się na niej dziesiątki tysięcy namiotów, rozmaitej wielkości i barwy. Stały przy sobie, tworząc niby miasto, lub oddzielnie; jedne były z bogatej materyi, inne ubogie, dziurami świeciły. Mieszkańcy namiotów pochodzili ze wszystkich części świata; znajdowali się pomiędzy nimi Francuzi nerwowi, Anglicy spokojni, Szwedzi o łagodnem spojrzeniu, Węgrzy ogniści, Murzyni łakomi, Indyanie, Chińczycy, nawet oliwkowi Hindusi. Wszyscy byli czemś zajęci, kręcili się, rozprawiali, kłócili; obóz wywarł na mnie wrażenie jakiegoś olbrzymiego rojowiska, w którem mrówki zastąpione zostały przez ludzi.

Gdym mu się przypatrywała ciekawie, przede mną stanął starzec i dotknął mego ramienia:

— Patrzysz na walkę szczęścia z nieszczęściem — rzekł, wskazując na tłum — tak samo dzieje się w życiu, ale powodu żaden mędrzec dotychczas nie odgadł. Na świecie walczą z sobą dwie wrogie siły; dobre i złe, szczęście i nieszczęście. Za każdym razem, gdy człowiek pomoże bliźniemu, gdy go uszczęśliwi słowem lub czynem, na owem wzgórzu, po prawej stronie, wyrasta prześliczny kwiat, a woń jego orzeźwiająca rozpływa się po całym świecie. Przeciwnie, jeżeli człowiek popchnie bliźniego do nieszczęścia, jeśli zniweczy szlachetne zamiary, wydrze mu wiarę — na wzgórze lewe spada nowy kamień, a cały świat czuje ciężar jego. Rzuć kamień w wodę; chociaż on upadnie w jedno miejsce, ale koła, które utworzy na powierzchni, rozszerzają się coraz dalej a dalej: i boleść jednostek udziela się całej ludzkości. Jeżeli chcesz się przekonać o tej prawdzie, zwróć oczy na równinę i patrz uważnie.

Tłum różnobarwny i różnojęzyczny olśnił mnie; było coś wspaniałego w tej wielkiej gromadzie ludzi, która kipiała życiem młodzieńczem. Wkrótce jednak pierwsze wrażenie ustąpiło rozczarowaniu, gdy zobaczyłam zbytek idący obok nędzy, piękno obok brzydoty, rozum obok głupstwa, szlachetność obok podłości.

Mężczyzna, słodko uśmiechnięty, idąc rozrzucał na prawo i lewo jakieś papiery, a ludzie gorączkowo je chwytali, wołając: »Oto szlachetny! oto dobrodziej! Ufać mu można.«

Nieco dalej zauważyłam kobietę, która z zawziętością biła małą dziewczynkę; dziecko nie płakało, z sinych warg jego wydobywały się jęki, a twarz matki pałała nienawiścią. Odwróciłam oczy od tego strasznego widoku i zobaczyłam, że na lewe wzgórze spadał wielki kamień.

Widziałam następnie miłosierdzie i poświęcenie. Człowiek niezamożny zrzekł się spadku na rzecz sierot. Inny zapłonął miłością do narzeczonej brata, lecz opuścił kraj na zawsze, chociaż dziewczę było mu wzajemnem. Spojrzałam w tej chwili na wzgórze prawe: rozwijał się na niem kwiat piękny a woń jego czułam.

Starzec mówił prawdę: po każdym czynie złym okrutnym, niesprawiedliwym, na lewe wzgórze spadał kamień; po każdym czynie szlachetnym — na prawem rozkwitał kwiat.

Gdym się nad tem zastanawiała, przeszła obok mnie kobieta piękna, a mężczyzni padali przed nią na kolana.

Spojrzałam ku wzgórzom: na prawem nie wyrastał nowy kwiat, za to na lewe spadały gęstym deszczem kamienie. — Komuż niesie nieszczęście ta piękna istota? — Za mężczyznami, którzy otaczali czarodziejkę, postępowały kobiety smutne, łzami zalane; były to ich matki, żony i narzeczone.

Inną krętą ścieżką szedł piękny mężczyzna, a obok niego młode dziewczę; on coś szeptał jej do ucha, ona słuchała go zapłoniona, szczęśliwa. Wówczas na prawem wzgórzu, wykwitł maleńki kwiatek, usiłował podnieść się do góry, ale po kilku sekundach omdlał, pochylił się na łodydze i zwiądł. Zrozumiałam wtedy, że jak boleść znika, gdy ją przyjaźń ukoi, tak samo znika szczęście, gdy je zdrada dotknie.

Nagle usłyszałam wrzaski: na boku stała gromada ludzi, miotających się jak szaleńcy; byli tam bogaci i ubodzy, młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, wszyscy załamywali ręce, pięści zaciskali; na twarzach jednych malowała

się wściekłość, na innych rozpacz i osłupienie.

— Łotr! Oszukał nas, okradł przez podstępne bankructwo... — Przypomniałam sobie wówczas, owego człowieka, który ze słodkim uśmiechem rozdawał papiery; były to akcye jakiegoś szalbierskiego przedsiębiorstwa.

Rozpacz pokrzywdzonych ścisnęła mi serce, a zapłakałam zobaczywszy ową dziewczynkę, którą matka biła, zapamiętale; już dorosłą prowadzono do więzienia — drogę tę utorowało jej bezbożne wychowanie.

Wzgórza ciągle rosły; ale gdy lewe szybko się zwiększało ulewą kamieni, prawe pięło się w górę powoli. Więc na świecie więcej niedoli niż szczęścia?... Uczułam, że smutek rozsadza mi piersi, łkanie z niej wybiegło — i obudziłam się.

Z przerażeniem patrzyłam dokoła siebie: wzgórze zbudowane z samych grzechów, podobne do tronu szatana, jeszcze miałam przed oczyma Świat w grzechu zginąć musi, bo wzgórze przeklęte wedrze się w obłoki, zanim błogosławione połowę tej wysokości dosięgnie.

Wtem usłyszałam echa dzwonów kościelnych — uroczyste tony wypłoszyły bojaźń z mego serca, jak słońce wypłoszyło ciemność z mego pokoju.

Owe wzgórze mniejsze, błogosławione, nagle przewyższyło wzgórze grzeszne i dosięgło nieba. Czego ludzie uczynić nie mogli, uczynił Bóg przez ofiarę Syna Swego. — Zbawiciel miary poświęcenia dopełnił.

Cud ten dzwony wielkanocne całemu światu głoszą a wierzący pozbywają się trwogi.

I ja ujrzałam świat w cudownym blasku.

## Jak należy się odżywiać?

Do dzisiejszego dnia zdania uczonych różnią się co do istoty i wartości pokarmów. Kiedy jedni pod pokarmami rozumieją te tylko substancye, które wyrabiają krew i ciepło i podtrzymują życie organizmu, inni przypisują wartość pokarmową nawet środkom drażniącym: jak kawa, herbata, piwo, wino, przyprawy itp. Pomiedzy jednymi i drugimi wielka jednak zachodzi różnica. Środki pobudzające nie są jak pokarm niezbędnymi dla organizmu i nie posiadają tak ogólnego znaczenia dla wszystkich części ciała. Dogadzają tylko systemowi nerwowemu a głównie nerwom mózgu lub grzbietu (opium, alkohol, tytuń), lub błonie śluzowej nosa, języka lub żołądka (ocet, przyprawy). Działanie ich bywa częstokroć nawet wprost przeciwnem działaniu pokarmów i obraca się na niekorzyść organizmu.

Istotny pokarm powinien zachowywać się obojętnie, nie drażnić, być strawnym. Aby pokarm był strawionym, musi się rozpuścić w żołądku. To rozpuszczanie się, będące dziełem soków żołądkowych, zaczyna się już w ustach, gdzie pokarm ulega rozdrobnieniu. W procesie trawienia gruczoły ślinowe grają więc taką samą rolę jak gruczoły wydzielające soki żołądkowe. Żaden pokarm nie dostaje się do krwi w postaci w jakiej go spożywamy. Czy będzie nim mięso, czy roślina, zamienić się musi wprzód w papkę, w tak zwane peptony, i w tej postaci przejść do muskułów, w których się przetwarza na mięso. Cały ten proces nazywa się »asymilacyą.«

Odżywianie więc ma na celu dostarczanie organizmowi pierwiastków, które po przerobieniu w żołądku, łączą się z ciałem i wpływają na wzrost jego i rozwój. Ponieważ nie wszystko co jemy przechodzi w krew, nie należy więc nigdy przeładowywać żołądka pokarmami niestrawnymi, jak owoce, groch, źle pogryzione mięso, i zmuszać go do bezużytecznych wysileń.

Odżywianiem powinna kierować sama natura pokarmów. Zwykle dzielimy je na pokarmy białkowe t. j. wytwarzające krew i substancye wytwarzające ciepło. Do tych ostatnich należą przeważnie pokarmy roślinne, które spożywamy codziennie: jak ryż, sago, kartofle, owoce, jarzyny i t. p obfitujące w krochmal.

Tu należą także wszelkie substancye cukrowe, soki owocowe (octowy, winny, cytrynowy i t. p.), w końcu oleje i tłuszcze.

Zadaniem zaś pokarmów białkowych jest odżywiać organizm i odnawiać zużyte jego tkanki. Ponieważ zasadą wszystkich tkanek zwierzęcych tak w mięśniach, nerwach jak i kościach, są substancye azotowe, pokarmy białkowe obfitować muszą w azot. Tu należą: sery, groch, fasola, strączki, chude mięso, jajka, zboża, kukurydza, ryż i t. p.

Podział taki pokarmów istnieje tylko w teoryi; w rzeczywistości niema tego rozgraniczenia. Przekonano się, że pokarmy azotowe dostarczają organizmowi pewną ilość cieplika i odwrotnie. Wiadomo, że można żyć nie karmiąc się mięsem zupełnie. Pitagorejczycy, pierwsi zakonnicy chrześciańscy nie jedli, a dzisiejsi wegetaryanie nie jedzą żadnych pokarmów mięsnych, pomimo to są zdrowi, silni i zdolni do pracy. Nie potrzeba się więc karmić mięsem wyłączenie, aby wyrobić w sobie siłę muskułów. Poit przekonywa na liczbach, że silne natężenie cielesne nie wpływa wcale na rozkład białka. Białko więc nie może być źródłem siły mięśniowej.

Aby pokarmy roślinne mogły się stać pożywnymi, muszą być sztucznie przygotowane; trzeba gotowaniem, tarciem, siekaniem i t. p. porozrywać w nich komórki i włókna rozluźnić. Obok pokarmów grają wreszcie pewną rolę środki podrażniające, jak kawa, herbata, piwo, wino i t. p. Kto dba jednak o zdrowie ducha i ciała, najlepiej uczyni, jeżeli niczem nerwów nie będzie rozdrażniał. Z natury bowiem to tylko karmi, co jest koniecznem do życia.

## Praktyczne rady.

— **Szanujcie oczy dzieci.** Blask ócz jest cennym darem Bożym. Lekkomyślnością nie do darowania grzeszy zatem, kto nie stara się go szanować a zwłaszcza u dzieci. 1) Starajcie się o to, ażeby światło na wpadało do ócz śpiących dzieci. 2) Nie pozwalajcie wpatrywać się dzieciom za długo w jeden przedmiot. 3) Nie pozwalajcie, ażeby się uczyły za wiele przy sztucznem świetle. 4) Nie pozwalajcie im używać książek z małym drukiem. 5) Nie pozwalajcie im czytać w wagonie kolejowym. 6) Nie przypisujcie bólu głowy w danym razie niedomaganiom żołądka; często bowiem wzrok jest tego powodem. 7) Nie pozwalajcie lada komu zapisywać dziecku okularów. 8) Dzieci powinny używać jak najwięcej ruchu na wolnem powietrzu, szczególnie na polach i łąkach, gdzie zielona barwa kwiecia wpływa bardzo dodatnio na wzrok.

— **Firanki pierze się** w gęstych mydlinach, a następnie wypłukuje się dobrze kilka razy za kupą. Tarcia i wyżdżymywania należy unikać, trzeba je jedynie dobrze wycisnąć. Mydliny zmienia się tak często dopóki firanki nie wydają się zupełnie czystemi. Następnie spłukuje się raz jeszcze takowe w zimnej wodzie. Do firanki koloru żółtawego (kremowego) dodaje się nieco farby kremowej do mączki rozgotowanej jak najrzadziej. Potem mączkuje się firanki, strzepuje się takowe należycie i naciąga na ramę. W zimie powinien być pokój dobrze opalony. W kilku godzinach są firanki suche i jak nowe zdejmuje się je następnie z ramy.

## Rozmaitości.

* **Sadzenie zębów.** Wyrwany ząb uważany jest zwykle za stracony, gdy tymczasem tenże ząb po wyrwaniu może tak dobrze służyć jak i przedtem. Bardzo ciekawe w przedmiocie tym fakta przytacza doktor Riballa-Nicamedo z Palermo.

U dentysty zjawił się raz żołnierz trzymając w ręku trzy zęby: dwa kły i jeden boczny z szczęki niższej. Opowiadał, iż będąc w stanie nietrzeźwym, uchwycił w zęby połę odzieży jednego z swoich towarzyszów, a ten usunąwszy się raptownie, uniósł wraz z połą trzy wpięte w nią zęby. Lekarz spróbował zasadzić nanowo trzy wyrwane zęby, i widząc że wystają nad inne, skrócił o trzy milimetry koniec każdego korzenia. Zęby wrosły i służyły wybornie, tylko kolor zmieniły na ciemniejszy. Drugim razem miał do czynienia z woźnicą, któremu muł uderzeniem kopyta strzaskał szczękę dolną. Przy tym wypadku wypadły mu dwa zęby. Okaleczony znalazł je i oddał nazajutrz dentyście. Lekarz zastósowawszy zwykle w tym razie antyseptyczne środki, wtłoczył zęby w ich dołki i związał szczękę. Po miesiącu pogoiły się wszystkie blizny i utwierdziły replantowane tak zęby. Dentysta czynił to samo z zębami spróchniałemi i zawsze do dobrych dochodził rezultatów. Brzmi to bardzo nieprawdopodobnie.

* **Amerykańscy dentyści** zużywają rokrocznie do plombowania zębów za $1^1/_2$ miliona dolarów złota, a cztery razy tyle srebra i innych metali. Pewien statystyk obliczył, że jeżeli dalej tak pójdzie, to Stany Zjednoczone w przeciągu lat trzystu pochowają na swych cmentarzach wszystko złoto, będące obecnie w obrocie. Liczba sztucznych zębów, wyrabianych co roku w Północnej Ameryce, wynosi 3 miliony, a rząd mógłby utworzyć kilka pułków z samych dentystów, gdyż liczba tych dochodzi dwunastu tysięcy.

* **Ceny dzikich zwierząt.** Dostawcy dzikich zwierząt sprzedają lwy i tygrysy po 2,000 franków; centkowana pantera kosztuje u nich 750 fr., lampart 5,000 fr., czarnej pantery cena dochodzi do 3,750 fr., centkowanego tygrysa do 7,500 fr., Słonia indyjskiego kupić można za 4,000 fr.; niedźwiedzie, stósownie do gatunku, sprzedają się od 200 do 450 fr. Ceny te jednak są niczem w porównaniu z wysokiemi cenami za nosorożca. Można go nabyć najtaniej za 25,000 fr. Jeden z przyrodoznawców liwerpolskich, Wiliam Kross, zapłacił 50,000 fr., za młodego goryla i żoko, przywiezionych do Anglii z zachodniego wybrzeża Afryki. Nie dobrze jednak wyszedł na tem: małpy nie przywykłe do klimatu londyńskiego, za przykładem wielu swych poprzedniczek więzionych w pałacu kryształowym, zdechły na suchoty płucne.

* **Baryłki papierowe.** Niedawno założono w Stanach Zjednoczonych fabrykę baryłek, beczek, stągwi i tym podobnych naczyń z papieru. Oto w jaki sposób wyrabiają baryłki: przyrząd użyty ku temu składa się z formy wewnętrznej i zewnętrznej. Pomiędzy obie wlewa się papka papierowa. Skutkiem ciśnienia na formę zewnętrzną papka tężeje. Maszyny mogą dostarczyć 200 baryłek dziennie. W podobny sposób urabia się wnętrze baryłki. Spinają je żelaznemi obręczami. Tak otrzymane baryłki przenoszą się do suszarni, gdzie pozostają dopóki zupełnie nie wyschną. Następnie pociągają je wewnątrz werniksem i zabarwiają na zewnątrz. Werniks inny jest do baryłek z mąką, cukrem i przedmiotami suchemi, a inny do baryłek ze słoniną, rybami lub płynami. Baryłki te, zarówno jak i inne wyrabiane z papieru naczynia odznaczają się obok wytrzymałości i nieprzemakalności nadzwyczajną lekkością.

* **Twardszą** od dyamentów masę wynalazł Francuz Masson, uczony fizyk, który wynalazł także fabrykacyą sztucznych dyamentów. Masę tę wydostaje on za pomocą elektrycznych promieni, a jest ona tak silną, że bez trudu można nią krajać nawet dyament w dowolne kawałeczki. Wytwarza się w piecu, w którym musi być 3 tysiące stopni gorąca. Masa wygląda jak czarna farba drukarska i nabierze jeszcze w przemyśle wielkiego znaczenia. Zastąpi wszelkie świdry i świderki do wier-

cenia w skałach i metalach, rżnąć będzie szkło i kamienie, do czego dziś używają odpadków od dyamentów.

* **Pamięć u człowieka** porównać można z żołądkiem jego; ażeby jedno i drugie należycie funkcyonowało, należy je pielęgnować z troskliwością. Nie trzeba się więc zaniedbywać ani też przeładowywać. Jeśli żołądka nie szanujesz i obchodzisz się z nim po macoszemu, łatwo się zdarzyć może, że i on się zemści na tobie. Tak samo i z pamięcią. Zaniedbaj ją, a więc nie staraj się jej kształcić, będziesz miał pamięć zawsze tępą. Naciągając jednak zbytnio jej struny pewny być możesz, że z latami te struny pękną i pamięć cię powoli zacznie opuszczać. Pamiętaj, że żołądek idzie z pamięcią w parze. Żołądek jest barometrem ciała. Gdy ujrzysz zdrowego człowieka, to powiesz sobie, że u tego żołądek z pewnością jest w porządku. Gdy zaś ciało jest zdrowem, to i duch jest zdrowym i oba takimi pozostaną u tego, kto potrafi pomiędzy nimi zachować równowagę. Pamięć zaś to cząstka tego organizmu duchowego, która umiejętnie pielęgnowaną oddawać ci będzie wielkie usługi w długie lata.

* **Najstarsza gazeta.** Najstarszą gazetą na świecie jest Dziennik pekiński, wychodzący już około lat tysiąca. Pięć kart grubego papieru z żółtą obwódką składają jeden numer. Gazeta ta nie ma ani felietonu ani ogłoszeń, ani wiadomości bieżących, ani artykułów wstępnych, a co najdziwniejsza nie ma prenumeratorów. Treść jej stanowią rozporządzenia sądowe i dlatego gazetę tę otrzymują darmo dostojnicy i urzędnicy Niebieskiego państwa.

* **Jeden z profesorów** monachijskiego uniwersytetu twierdzi, że najpierwszym narodem, który dał początek kulturze europejskiej, był szczep Sumeryjczyków, którzy mieszkali w dzisiejszej Mezopotamii w Azyi. Kulturę ich uprawiali następnie Babilończycy, którzy tak szybko się mnożyli, że powoli stali się klasą panującą. Sumeryjczycy poczęli powoli znikać z powierzchni ziemi, ale język ich się zachował i był, podobnie jak łaciński, językiem uczonych. Jestto najstarszy język w ogóle, jaki zna historya świata i ma pewne podobieństwo do dzisiejszych języków turecko-tatarskich.

## ŻARTY.

*W lesie.*

Młody gajowy, Gapski, zadumany głęboko, wpatruje się w swoją dubeltówkę.

— O czem to myślicie, panie Gapski?

— He, he, he, — śmieje się Gapski — myślę cobym ja robił z moją fuzyą, gdyby prochu nie wynaleziono?

*Także umartwienie.*

Dobroczyńca: Chcesz jałmużny, a jak dostaniesz, to przepijesz.

Żebrak: Nic dziwnego panie, topię tylko swe umartwienie.

Dobroczyńca: A cóż ty możesz mieć za umartwienie?

Żebrak: Gdyby pan wiedział, co to za umartwienie, nim człowiek co wyżebrze na to picie, to by się pan z pewnością nie pytał...

— Nie wiesz, z czego tamten jegomość tak utył?

— O, jego suchoty tak utuczyły..

— Co, suchoty?

— A tak, cudze suchoty, bo to doktor od piersiowych chorób...

*Na wsi.*

Maciejowa: No, wstawaj próżniaku!

Maciej: Oj, oj! kiedy jestem zmordowany!...

Maciejowa: Adyć, ty zatraceńcze jakiś, przez całą noc chrapałeś jak zabity.

Maciej: No, tak, społem... Ale mi się śniło, zem bez ten cas dwa siągi drzewa porąbał.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.

# Baczność!

Często piszą się polskie listy na papierze, na którym jest nagłówek z **niemieckim obrazkiem lub napisem.** A gdy się komu na to uwagę zwróciło, tedy odpowiadał, że papieru listowego **z polskimi napisami dostać nie mógł.** Aby temu zapobiedz, postarała się nasza drukarnia o stósowne nagłówki i napisy i poleca

## Papier listowy i koperty

po takich samych cenach, jakie w składach za niemieckie płacić trzeba, z ładnymi nagłówkami i **polskimi napisami** (jak: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Szczęść Boże, Bóg z Tobą, Serdeczne pozdrowienie, Witam Was)* po następujących cenach:

| | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 5 | arkuszy listowego papieru | i | 5 | kopert | w tece | za 10 fen., | z przesyłką | 15 fen. |
| 10 | » | » | 10 | » | » | » 20 » | » | 30 » |
| 25 | » | » | 25 | » | » | » 40 » | » | 50 » |

Należytość uprasza się przesyłać naprzód pod adresem: **Wydawnictwo „Katolika" w Bytomiu** (Beuthen O.-S.)

# „KATOLIK" kalendarz dla wszystkich

## na rok przestępny 1896

już wyszedł. Zawiera wszystko, co kalendarz w sobie mieścić powinien, oprócz tego bardzo liczne obrazki, powieści i pouczające wykłady. Treść jego następująca: Zdrowaś Marya. (Zajmujące objaśnienie modlitwy „Zdrowaś Marya"). Żołnierz i sierota (wiersz). Poczciwi ludzie. (Opowiadanie). Wojciech Głowacki, bohater z pod Racławic (jego żywot). Wyprawa po skarby w słynnych górach polskich. Piwnice krzysztoforskie (wiersz). O św. Wojciechu (z podobizną katedry w Gnieźnie). Nieszczęsne pantofle (zabawne opowiadanie). Spojrzyj na krzyż (wiersz). Nowy dzwonek (legenda ludowa). Przedstawienie pasyi czyli męki Pańskiej w Rybniku, (z 6 obrazkami). Z życia św. Antoniego Padewskiego. Przygody tłustego, który chciał schudnąć (zabawne zdarzenie z 9 obrazkami). Z dawnych czasów i z innego świata (pouczający wykład o życiu). Zbiór ucieszných obrazków. Praktyczne rady. Nadto zawiera dwa bezpłatne dodatki: 1) **prześliczny kolorowy obraz** i 2) **kalendarz ścienny.**

**Cena 50 fenygów,** z przesyłką **60 fen.**

Przy odbiorze 10 egzemplarzy udzielamy 11-ty bezpłatnie i franko przesyłkę.

**Wydawnictwo „Katolika" w Bytomiu** (Beuthen O.-S.)

*Znaczne zniżenie ceny!*

# *Żywot Pana i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa i Boga Rodzicy Dziewicy Maryi*

*w 23 zeszytach i ozdobiony 135 rycinami.*

***Zeszyt pojedyńczy kosztuje tylko 40 fen.** (dawniej 50 fen.) — **Okładki** do dzieła tego nabyć można po 1.50, 1.75 i 2 marki.*

*Kto kupi **razem 23 zeszyty wprost z Ekspedycyi „Katolika"** płaci zamiast 11 mk. tylko **8 marek.***

*Zamiejscowi muszą nadesłać należytość naprzód, oprócz tego na frankowanie dołączyć 25 fen., a jeżeli więcej niż 10 mil, 50 fen.*

*Zamawiać można pod adresem:*

***Wydawnictwo „Katolika", Bytom (Beuthen O.-S.)***